

Antoni Słonimski
w swoim mieszkaniu przy Alei Róż,
Warszawa sierpień 1959 r.

KULTURA

MUSZĘ PISAĆ, PÓKI ŻYJĘ

ANTONI SŁONIMSKI

Ja ich się i tak nie boję, oni mi już nie mogą nic zrobić. Mają bić mnie w twarz? Już bili.

Po powrocie do Polski wcale nie było mnie i mojej rodzinie dobrze – mówi poeta

w nigdy niepublikowanym w Polsce wywiadzie, udzielonym Leszkowi Kantorowi.

Cztery lata temu, w 1969 r., opuściłem kraj. Czy od tego czasu zmieniło się w Polsce na lepsze?

Proszę pana, oczywiście zmieniło się trochę, ale jeśli powiem, że zmieniło się wiele, to będzie powiedziane za dużo. To, że pozwalają mi wyjechać za granicę, to też jest zmiana. Przygotowuję do druku dwie książki. To, że mnie drukują, jest dla mnie osobiście, jako pisarza, sprawą wielkiego znaczenia. W ostatnich dwóch latach cofnięto wobec mnie nakaz całkowitej cenzury i zakaz druku. Mogę od czasu do czasu publikować w prasie. Ostatnio piszę w „Tygodniku Powszechnym”, piszę, na ile to jest możliwe, jak najbardziej „odważnie”, ale cenzura jest nadal nieunikniona, trzeba być naiwnym, żeby tego nie dostrzec. Ostatnio nawet cenzor nie zauważył, jak zacytowałem Solżenicyna, nie wymieniając jego nazwiska, a pisząc tylko: „pewien wielki pisarz powiedział”; zauważyły to „Kultura” i Radio Wolna Europa (RWE), a tego właśnie nie powinni byli robić, bo nie wolno pouczać cenzorów, jak mają pracować i co czytać, na drugi raz mój artykuł wezmą pod lupę.

I tak wiele odrzucają. Mam trudności z publikowaniem w gazetach o dużych nakładach, takich jak np. „Polityka”, bo tam już sprawdzają dokładnie.

Zadano mi kiedyś pytanie, dlaczego piszę w katolickich tygodnikach, chociaż znany właściwie jestem jako lewicowiec, było to po wydrukowaniu mnie w „Tygodniku Powszechnym”. Odpowiedziałem, że sprawa przedstawia się tak, że przed wojną komuniści byli tymi postępowymi, a kler był reakcyjny, a dzisiaj przy władzy komunistycznej, w ocenie społeczeństwa, katolicyzm jest postępowy, a komunizm jest tym złem. Widzi pan, ja muszę pisać, póki żyje, muszę drukować. Weźmy dla przykładu pismo „Więź”, tam właśnie dzisiaj są najlepsze umysły, tam w numerze z tego roku znajdzie pan taką postać jak profesor Edward Lipiński, ekonomista, człowiek o brylantowym charakterze. On to przecież, gdy zwrócił się do niego Gierek w sprawach ekonomicznych, rozmawiał o studentach uwięzionych po Marcu, to dzięki niemu Michnik i inni mogą teraz składać egzaminy. Tam też drukuje się Woroszyńskiego, Zawiejskiego, a teraz nawet Jasienicę.

Czy pan osobiście mocno przeżył 1968 i 1969 rok?

Przyznam się panu szczerze: zmobilizowałem się wewnętrznie, starałem się, żeby to wszystko mogło po mnie jakoś spłynąć. Dla mnie wtedy było ważne, że ludzie kłaniają mi się na ulicy. Opowiem panu taki autentyczny wypadek. W delikatesach, jak stałem z żoną w kolejce po szynkę, bo u nas to szynka ciągle na numerki, to ekspedientka zawołała: „Szynka dla pana Słonimskiego znajdzie się”, a drugi ekspedient powiedział: „To pan Słonimski, poznałem pana po twarzy”. Ma pan rację – odpowiedziałem – bo tylko ja teraz twarzy nie zmieniłem. Zdaje się, że to stało się potem dowcipem w Warszawie i poszło dalej. Ale zmierzam do tego, że dla mnie było ważne – pomimo spodziewanych represji – zachowanie swojego oblicza, a nie skurwienie się, jak to zrobiło wielu. Wielu się bało, ale byli tacy, którzy się zachowali przyzwoicie, Herbert na przykład – kryształ. Jak siedzieliśmy i oglądaliśmy wtedy telewizję, to Gomułka na początku wymieniał wrogów, a mnie jakoś tam nie

było. Moja żona ucieszyła się i mówi: „Patrz, Antek, ciebie nie ma”. A ja jej na to: „Poczekaj, ja będę przy syjonistach”. No i tak się stało. Wtedy mogłem już spodziewać się rewizji i innego piekła. Ale ja ich znam i znam ich metody. Bałem się trochę więzienia, trochę zdrowie mam przecież już nadwerżone. Oni potrafią niszczyć. Kępa (Józef Kępa, w latach 1967–1976 I sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR – red.) jest i był moim największym wrogiem, on jakby mógł, toby mnie zniszczył, jego obawiałem się najwięcej, ale jak powiedziałem, ludzie byli przy mnie. Chociaż o druku nie można było marzyć.

Teraz jest trochę łatwiej. Niedawno wyciągnąłem jeden ze swoich starych utworów o takim krawcu: żydowskim, szmonces, ale taki z elementami antyrządowymi. Wojciech Siemion wziął to i zrobił z tego teatr jednego aktora, recytuje to w Prochowni. Trochę bałem się Siemiona, ale teatr idzie, ludzie wyją ze śmiechu, masa młodzieży, a młodzież mamy przecież dobrą. Mówię o tym młodym pokoleniu, bo to średnie to zbłądziło się trochę. Ostatnio był na przedstawieniu Kępa ze Szlachcicem

(Franciszek Szlachcic, były wiceminister spraw wewnętrznych – 1961–1971, a potem m.in. sekretarz Komitetu Centralnego PZPR – 1971–1974, i wicepremier – red.). Kępa chciał na pewno zastopować przedstawienie, ale proszę sobie wyobrazić, że Szlachcic rozmawiał z Siemionem oraz gratulował mu występu, powiedział nawet, że tyle w tym liryzm. Liryzm – skąd takie słowa u Szlachcica, tego nie wiem, ale on podobno jeździł do Krakowa i godzinami rozmawia z Lemem, namawiał go nawet na to, żeby Lem przyjął prezesostwo w ZLP, ale ten odmówił i dobrze zrobił. Tam jest takie miejsce, gdzie mowa jest, że „i ten bałagan idzie już 50 lat”; mieli do tego zastrzeżenia, bo przecież wszyscy wiedzą, że to 50. rocznica powstania ZSRR, ale Siemion odpowiedział, że jak Słonimski pisał, to jeszcze nie było 50 lat, i gra dalej.

Czy miał pan trudności z wyjazdem na Zachód ?

Teraz nie miałem. Przecież oni mają na mnie tony papierów i donosów, jakby chcieli, toby mi nie dali paszportu, miałem już kilka odmów wcześniej. Teraz dostałem (wizę) na wszystkie kraje Europy z prawem wielokrotnego przekraczania (granicy). Jak będą chcieli mi odebrać paszport, to długo nie trzeba będzie czekać. Oni robią, co chcą.

Czy w ciężkich dla pana sytuacjach nie zastanawiał się pan nad tym, żeby wyemigrować z kraju?

Pan wie, że wróciłem w 1951 r. do Polski. Miałem wtedy szczęście, gdybym wówczas wiedział, że Polska rządzi dwóch generałów radzieckiej bezpieki, to może bym nie wrócił. Było wtedy niebezpiecznie. Na szczęście zmarł Stalin, bo inaczej byśmy już tak jak dzisiaj nie rozmawiali. Potem wybrali mnie na prezesa Związku Literatów Polskich. Poczulem się potrzebny i nie żałowałem powrotu. Potem wszystko się zmieniło, ale ja ich się i tak nie boję, oni mi już nie mogą nic zrobić. Mają bić mnie w twarz? Już bili. Po powrocie do Polski wcale nie było mnie i mojej rodzinie dobrze, wprawdzie nie odebrali mi mieszkania, ale po zakazie drukowania nasze oszczędności wyczerpały się, zaczęliśmy sprzedawać trochę biżuterii, którą miała moja żona. W krytycznej sytuacji pomógł nam Lorentz (Stanisław Lorentz, dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie w latach 1935–1982 – red.), zakupując dla Muzeum Narodowego kilka rzeczy, które udało mi się uratować. Spotykałem się w okresach dla mnie trudnych z niezwykłą, wrzuszającą sympatią ludzi, przychodzili do nas do domu, ofiarowali pomoc. Zakazy druku były dla mnie wypadek, że po 1964 r., po opublikowaniu przez grupę intelektualistów Listu 34, cofnięto mi ubezpieczalnię społeczną. Proszę sobie wyobrazić, co to była za bolesna sprawa dla mnie, człowieka chorego, byłem wtedy już po pierwszym zawale serca. Na szczęście prezesem Warszawskiego Oddziału Literatów był Igor Newerly, on zajął w tej sprawie stanowisko takie, że mnie jako laureatowi nagrody państwowej pierwszego stopnia należy się automatycznie opieka lekarska państwa i jeśli Ministerstwo Zdrowia nie zdejmie zakazu, to wszyscy laureaci nagrody państwowej pierwszego stopnia, czyli pozostali wybitni pisarze, będą musieli również odmówić korzystania z opieki lekarskiej. Po tym argumentcie władze ugięły się i po pewnym czasie

zwrócono mi prawa ubezpieczalni. Posunięcia władz w stosunku do mnie i innych intelektualistów były wręcz niezrozumiałe. Przecież Gomułka po Liście 34 zareagował w taki sposób, że po wybuchu wściekłości kazał wszystkich podpisanych pod listem wyrzucić z kraju, dać im paszporty i siłą usunąć za granicę. Dopiero po wmieszaniu się Cyrankiewicza pomysł Gomułki zmieniono, byłby to przecież skandal na miarę międzynarodową.

Jak wyglądają obecnie sprawy cenzury?

Oczywiście jest to sprawa dla piszącego najważniejsza. W mojej obecnej sytuacji mogę pisać, ale jak panu powiedziałem, w mniejszych nakładach. „Tygodnik Powszechny” ma nakład 50 tys. egzemplarzy i tam mogę pisać trochę swobodniej, ale w „Polityce” już nie, bo tam jest nakład półmilionowy. Właściwie zdjęto cenzurę z dwóch pism: „Trybuny Ludu”, co nic nie znaczy, i z tygodnika „Polityka”. Rakowski (Mieczysław Rakowski był w latach 1958–1982 wicenaczelnym i naczelnym wspomnianego tygodnika, później m.in. wicepremierem i premierem – red.) jest zręcznym politykiem, ale to nie znaczy, że w „Polityce” można pisać, co się chce. Istnieje rzecz gorsza nieraz od samej cenzury – jest to samocenzura, to wydaje mi się ma miejsce w przypadku „Polityki”. Jest to jednak na nasze warunki pismo niezłe. Można czasem coś przemycić, mając na uwadze przeoczenia cenzury, tak było z moim cytatem z Solżenicyna w „Tygodniku Powszechnym”, ale na ogół jest bardzo trudno.

Zakazy w swoim czasie dotyczyły nie tylko prac napisanych przeze mnie, ale też wszystkich, co było o mnie. Kiedyś w podręczniku literatury dla szkół średnich „udało się” przemycić dwie linijki o mnie. Ja to rozumiem, gdyby autor napisał osiem linijek o mnie, toby go wywalili z pracy. Co jest dla mnie teraz ważne, to to, że zdjęto zakaz cenzuralny i będą publikowane moje dwie książki. Jedna to zbiór poezji, a druga książka to zbiór moich felietonów i utworów pisanych prozą. Istnieje natomiast pewnego rodzaju cenzura ekonomiczna. Polega to na tym, że moje książki są droższe od innych autorów tej samej objętości i z tego samego wydawnictwa. Jeśli np. moja książka z wierszami kosztuje 70 zł, to taka sama książka innego autora kosztuje 30 zł. Jest to przecież wyraźna różnica, jeśli wziąć pod uwagę, że poważnym odbiorcą czytelniczym jest młodzież. Ważnym czynnikiem jest też nakład. Moje nakłady nie są wysokie i rozchodzą się w zasadzie w ciągu paru dni.

Jak wygląda sprawa tłumaczeń pańskich książek na języki obce?

Tłumaczenie poezji jest sprawą bardzo trudną. Pytano mnie na konferencji w Sztokholmie, czy mam coś do zaproponowania wydawcom szwedzkim. Mój „towar” nie jest chodliwy, przecież każde tłumaczenie poezji jest nie tym, co trzeba. To tak jak sztuczne kwiaty: podobne, ładne, ten sam kolor, a jednak to nie to. Co innego moje pamiętniki, które obecnie piszę, ale to będzie sprawa aktualna dopiero za rok. Mam już uzgodnione w Ameryce, że się tam ukażą. Część wspomnień będzie drukowana w kraju, ale to nie wszystko, co chcę powiedzieć, resztę opowiem w inny sposób. Piszę przede wszystkim dla mojego kraju. Pewna osoba oznajmiła mi, że to, że mnie obecnie drukują, to są tylko pozory, że wcale nie jest lepiej z cenzurą, itp. Odpowiedziałem jej, że wolę, żeby mnie drukowali pod pozorem, niżby mnie pod pozorem mieli bić po twarzy.

Jaki jest pana stosunek do poezji awangardowej?

Nigdy nie byłem zwolennikiem formalnego traktowania literatury. Wszyscy wielcy – Proust Dostojewski i inni – poruszali sprawy moralne, sprawy stojące blisko człowieka, w tym była m.in. ich wielkość oraz siła artystycznego wyrazu. Jeśli chodzi o poezję, to aczkolwiek nie jestem człowiekiem zwalczającym tzw. nowoczesne formy wiersza, to jednak wolę te bardziej klarowne. Wolę Herberta niż Grochowiaka czy Różewicza; kochałem tego ostatnie są może ładne, ale i zagmatwane, często bez rymu i rytmu, w sumie o słabym wyrazie moralnym, dydaktycznym, co w naszych warunkach literackich jest może mniej potrzebne. Ciekawe jest, że reżimy takie jak nasz wołały tego typu awangardową poezję, ponieważ ona nie mówi nic, a o to przecież im chodzi. Dlatego też wielu poetów tzw. awangardy ma poparcie władz. W prozie to jest trudniejsze, niedobłą prozą łatwo zauważyć, proza bezwartościowa jest dostrzegalna. Dlatego też teraz wiele utworów poetyckich nie jest poezją, ale po prostu licha prozą, nie wierszem.

Jaka jest pana ocena konferencji PEN Clubu w Sztokholmie (rozmowa odbyła się w jej trakcie w 1973 r. – red.)?

Konferencja spełniła swoje zadanie. Postulowałem wraz z innymi, by podjąć rezolucję potępiającą prześladowania pisarzy czeskich, zresztą prawnych członków PEN Clubu. To się udało, jak podniosłem rękę, to ogłoszono, że Polska popiera rezolucję. Pomyślałem sobie: Polska?! W Polsce powiedzą po moim powrocie, że to Słonimski poparł tę rezolucję, i, jak to u nas, mogą uciąć druk moich książek, a tego obawiam się najwięcej. Było mi bardzo przyjemnie być honorowanym tutaj na kongresie. Siedziałem w prezydium, nie wiem dlaczego, czy z uwagi na mój wiek, czy



JAK SIEDZIELIŚMY I OGLĄDALIŚMY WTEDY TELEWIZJĘ, TO GOMUŁKA NA POCZĄTKU WYMIENIAŁ WROGÓW, A MNIE JAKOŚ TAM NIE BYŁO. MOJA ŻONA UCIESZYŁA SIĘ I MÓWI:

„PATRZ, ANTEK, CIEBIE NIE MA”. A JA JEJ NA TO: „POCZEKAJ, JA BĘDĘ PRZY SYJONISTACH”. NO I TAK SIĘ STAŁO

zasługi? W każdym razie moje przemówienie nagrodzono oklaskami. Siedziałem przy Böllu (pisarz Heinrich Böll był prezesem PEN Clubu w latach 1971–1974 – red.) i prezesie Szwedzkiej Akademii. Miałem wystąpienie na samym początku, wystąpienie było potem cytowane w prasie szwedzkiej.

Jak wygląda obecnie kontakt Polski z Zachodem?

Najważniejszym źródłem informacji dla mnie i dla kraju jest Radio Wolna Europa. Wszyscy słuchają audycji. Kupiłem nawet sobie za 70 dolarów tranzystor japoński

i jak zagłuszają, to zawsze znajduję kanał, na którym, gdy się radio dobrze dostroi, można słyszeć. Są teraz fachowcy w Warszawie, np. jacyś studenci czy asystenci z politechniki, którzy potrafią przerabiać odbiorniki radiowe, że odbiera się programy lepiej. Przecież oni muszą mieć jakiś kanał, żeby robić nasłuchy dla siebie, to przy okazji i my słyszymy. W dzień jest trudniej np. na średnich falach odbiór w dzień jest niemożliwy, ale wieczorem jest lepiej. Przychodzę do domu po 22, słysząc wyraźnie, chociaż pan wie, że słyszę na jedno ucho bardzo słabo. Wydaje mi się, że jest to najpoważniejszy prąd informacyjny. „Kultura” nie dociera w tak żywy i szybki sposób. Nie wiem tylko, dlaczego oni się kłócą, to jest bardzo niepotrzebne. Kraj chce informacji i oni powinni się jakoś uzupełniać. Np. ostatni artykuł Leszka Kołakowskiego był czytany tylko fragmentami. Takie rzeczy powinny iść w całości. Jedna pani zapytała mnie ostatnio: „A co tam Antoni u pana?”. Odpowiedziałem: „Ja słucham Wolnej Europy”. To ona wykrzyknęła: „Tak, ale oni kłamią”. „Pewnie że kłamią – odpowiedziałem – na przykład o mnie powiedzieli, że odmówiono mi paszportu dwa razy, a władze odmówiły mi wyjazdu za granicę trzy razy”. Niedawno mój znajomy był w Rosji, w Kijowie. Otóż tam też wszyscy słuchają RWE i Liberty. Ta informacja rozprzestrzenia się coraz bardziej – jest potrzebna.

Jak wygląda pana współpraca ze środkami masowego przekazu w kraju?

Muszę się pochwalić, ale odmówiłem telewizji publicznej wywiadu już dwa razy. Raz tylko wziąłem udział w dyskusji poświęconej Prusowi, mojemu ulubionemu pisarzowi, ale powiedziałem wtedy, że robię to tylko ze względu na pamięć o tym pisarzu, który był w domu u mojego ojca w Warszawie. Telewizja była najgorsza w czasie nagonki na intelektualistów po Marcu 1968. Większość ludzi, która to robiła, pracuje tam do dzisiaj. Na mnie to nawet machano z ekranu palcem. Mówiono: jeszcze zobaczymy, co to będzie ze Słonimskim.

Czy teraz jest już pan spokojniejszy, czy w obecnym klimacie politycznym może pan spokojnie pracować?

Tego panu powiedzieć nie mogę. Nigdy nic nie wiadomo, jak to będzie po moim powrocie do kraju. Radio już podało, że byłem na kongresie, rozmawiałem z żoną przez telefon wczoraj. Wszystko jest możliwe. Mogą np. zawołać mnie do ministerstwa i powiedzieć, że nie będą mnie drukować z tych czy innych powodów. Rewizji w domu też nie można wykluczyć. Ostatnio kiedy włączyłem się w akcję pomocy Kowalczykom [braci Kowalczyków skazano w 1972 r. za zamach bombowy w Opolu, gest sprzeciwu wobec wydarzeń Grudnia 1970 – red.], były próby prowokacji. Nasłano mi do domu jakiegoś gościa, który prosił mnie o pomoc w wysłaniu jego książki na Zachód, prosto do „Kultury” w Paryżu. Bo ja mam rzekomo mieć dobre kontakty w Warszawie na przemyt wiadomości i materiałów za granicę. Pan wie, że to jest u nas mocno karane. Byłem grzecznym w stosunku do tego gościa i odesłałem mu książkę do domu z powrotem. ☺☺

—rozmawiał Leszek Leo Kantor

Powyższy wywiad został przeprowadzony w maju 1973 r. w Sztokholmie. Ukazał się w nowojorskim „The Polish Review” w 1976 r. Dotychczas nigdy nie opublikowano go w Polsce

Leszek Leo Kantor (ur. 1940) mieszka w Sztokholmie, gdzie wyemigrował po wydarzeniach marcowych 1968 r.